



Gustave Aimard

SZCZERE SERCE

Pierwszy tom cyklu „Traperzy z Arkansasu”



56

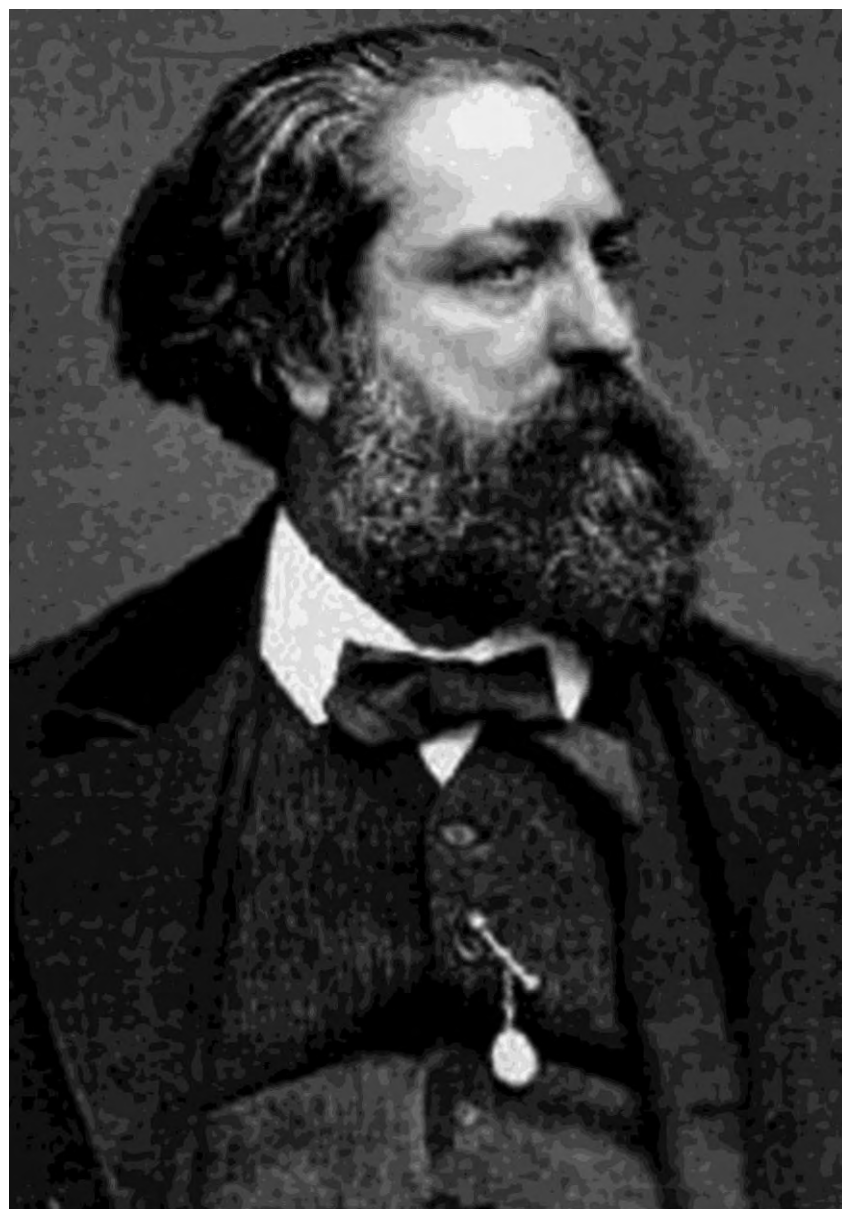
ISBN 978-83-67876-67-4 (całość)

ISBN 978-83-67876-68-1 tom 1)

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Gustave Aimard

SZCZERE SERCE



Gustave Aimard (właśc. Olivier Gloux) urodził się 13 września 1818 roku w Paryżu, zmarł 20 czerwca 1883 roku w paryskim przytułku św. Anny, do którego trafił pod koniec życia jako biedny, schorowany człowiek, uznany przez otoczenie za szaleńca.

Był autorem powieści przygodowych, jednym z najpłodniejszych i najpopularniejszych francuskich pisarzy XIX wieku.

Biologiczni rodzice porzucili go, został adoptowany przez rodzinę Gloux. Oficjalnie nazywał się Olivier Gloux, ale sam używał imienia Gustave. W wieku dziewięciu lat uciekł z domu i zaciągnął się na statek jako chłopiec okrętowy. Młodzieńcze lata spędził w Ameryce Południowej, m.in. w Patagonii, później trafił do Ameryki Północnej, gdzie wiódł życie pełne przygód i parł się różnymi profesjami, był myśliwym, traperem, poszukiwaczem złota. W 1835 roku zaciągnął się do wojska, ale po kilku latach zdezerterował. Podróżował po Europie, Turcji, Kaukazie i obu Amerykach.

Po powrocie do Francji poświęcił się pisaniu powieści przygodowych. Szczególnie upodobał sobie opowieści o amerykańskim Zachodzie, które opierał na swym bogatym doświadczeniu i licznych wspomnieniach. W ciągu dwudziestu pięciu lat spod jego pióra wyszło około sześćdziesięciu powieści. Do najbardziej znanych należą *Traperzy z Arkansas* (1858) i *Bandyty z Arizony* (1882) oraz duży cykl *Władcy Oceanu*. Początkowo jego powieści publikowano w czasopismach takich jak „Le Moniteur”, „La Presse”, „Le Voleur” i „La Liberté”. Jego książki doczekały się we Francji licznych wznowień i adaptacji, także teatralnych.

Powieści Gustave’a Aimarda opisują losy mieszkańców Ameryki Północnej na tle kolonialnych ambicji wielkich europejskich mocarstw i postępującego procesu znikania populacji Indian. Autor chętnie sięga po postaci gońców leśnych, traperów i myśliwych, ludzi pogranicza stanowiących łącznik między europejską cywilizacją a światem Indian. Główni bohaterzy jego powieści to ludzie o europejskich korzeniach, niezależni i odważni, wyznający zachodnie wartości moralne, ale prowadzący indiański styl życia.

Gustave Aimard



SZCZERE SERCE

Pierwszy tom cyklu „Traperzy z Arkansasu”

Przełożył i przypisami opatrzył Andrzej Zydorczak

Sto pięćdziesiąta szósta publikacja elektroniczna
Wydawnictwa JAMAKASZ

Pięćdziesiąty szósty tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału francuskiego:
Le Cœur-Loyal

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Zydorczak, 2025

29 ilustracji, w tym 6 kart tablicowych kolorowych:
Alexandre de Bar, Jean Gérard-Séguin, A. Darjoy
zaczerpnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego
podkolorowanie: Dariusz Kocurek

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak

Redakcja: Jolanta Spyrka
Projekt okładki: Barbara Linda
Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I
© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2025

ISSN 2449-9137
ISBN 978-83-67876-67-4 (całość)
ISBN 978-83-67876-68-1 (tom pierwszy)

PROLOG

I

Hermosillo

Rodróżnik który po raz pierwszy przybywa do Ameryki Południowej mimowolnie ma poczucie nieokreślonego smutku.

Rzeczywiście, historia Nowego Świata to nic innego jak żałosna martyrologia, w której fanatyzm i chciwość nieustannie idą ramię w ramię.

Poszukiwanie złota dało początek odkrywaniu Nowego Świata. Kiedy znaleziono pierwsze ślady tego kruszcu, Ameryka stała się dla zdobywców tylko pośrednim etapem, do którego przybywali chciwi awanturnicy, ze sztyletem w jednej ręce i krucyfiksem w drugiej, zbierając duże plony owego metalu, tak gorąco pożądanego, po czym wracali do swojej ojczyzny, aby afiszować się swoimi bogactwami i prowokować tym nieograniczonym luksusem nowe fale emigracji.

To właśnie temu ciągłemu przesiedlaniu się musimy przypisać w Ameryce brak tych wielkich zabytków, rodzaj kamieni węgielnych każdej kolonii, która wzrasta w nowym kraju, aby utrwalić tam swoją rasę.

Ten rozległy kontynent przez trzy stulecia był w pokojowym władaniu Hiszpanów. Kiedy się go dzisiaj przemierza, tylko tu i ówdzie rozsiane w dużych odległościach przypominają ich pobyt bezimienne ruiny, podczas gdy zabytki wzniesione wiele wieki przed odkryciem kontynentu przez Azteków i Inków wciąż stoją w swojej majestatycznej prostocie, jako niezniszczalne świadectwo obecności swoich twórców w kraju i ich wysiłków na rzecz cywilizacji.

Niestety! Co stało się dzisiaj z tymi chwalebnyymi podbojami, których zazdrościła cała Europa, gdzie krew katów mieszała się z krwią ofiar na korzyść tego drugiego narodu, tak dumnego ze swoich dzielnych dowódców, urodzajnego terytorium i swego handlu, który obejmował cały świat? Czas płynął, a Ameryka Południowa odpokutowała za popełnione zbrodnie. Rozerwana przez frakcje walczące o efeme-

ryczną władzę, uciskana przez rujnujące oligarchie, opuszczona przez obcokrajowców, którzy wzbogacili się na jej zasobach, powoli zapada się pod ciężarem bezwładności, nie mając siły, aby podnieść duszący ją ołowiany całun, by obudzić się dopiero w dniu, w którym nowa rasa, niesplamiona zabójstwami i rządzona według boskich praw, przyniesie jej pracę i wolność, będące same życiem narodów.

Krótko mówiąc, hiszpańsko-amerykańska rasa została utrwalona w domenach, które zostały jej przekazane przez jej przodków bez rozszerzania jej granic; jej bohaterstwo umarło w grobie Karola V¹, a ona zachowała z ojczyzny tylko swoje gościnne obyczaje, swoją nietolerancję religijną, mnichów, *guittareros*² i łotrów uzbrojonych w strzelby.

Ze wszystkich stanów, które tworzą ogromną konfederację meksykańską, stan Sonora³ jest jedynym, który ze względu na ciągle tarcia i walkę z otaczającymi go plemionami Indian zachował wyraźną fizjonomię.

Zwyczaj jego mieszkańców mają pewien dziki charakter, który na pierwszy rzut oka odróżnia je od zwyczajów prowincji wewnętrznych.

Rio Gila⁴ może być uznawana za północną granicę tego stanu, który od wschodu i od zachodu wciska się między Sierra Madre⁵ a Zatoką Kalifornijską.

Sierra Madre, za Durango, jest podzielona na dwie gałęzie: główna kontynuuje zasadniczy kierunek, biegnie z północy na południe; druga

¹ Karol V (1500-1558) – cesarz Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego w latach 1519-1556 z dynastii Habsburgów, król Hiszpanii w latach 1516-1556 jako Karol I Hiszpański; najstarszy syn Filipa I (syna Maksymiliana I i Marii, księżnej Burgundii) i Joanny Szalonej (cóрки Ferdynanda II Aragońskiego i Izabeli I Kastylijskiej).

² *Guittarero* (hiszp.) – gitarzysta (hiszpański).

³ *Sonora* (hiszp. *Estado de Sonora*) – współcześnie stan w północno-zachodnim Meksyku, nad Zatoką Kalifornijską, przy granicy z USA.

⁴ *Gila* – rzeka w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, przepływająca przez stany Nowy Meksyk i Arizone, dopływ rzeki Kolorado; ma długość 1044 kilometrów (649 mil), powierzchnię dorzecza 150,7 tys. km²; źródła rzeki znajdują się w Gila Hot Springs i Gila Cliff Dwellings National Monument w południowo-zachodniej części Nowego Meksyku.

⁵ *Sierra Madre* – łańcuchy górskie w południowej części Ameryki Północnej, w Meksyku, należące do systemu Kordylierów.

skręca na zachód i za stanami Durango i Guadalajara przechodzi przez wszystkie regiony, które kończą się przy Pacyfiku. Ta odnoga Kordylarów tworzy południowe granice Sonory.

Wydaje się, że przyroda cieszy się, mogąc w tym kraju pełnymi garściami czerpać ze swego stanu korzyści. Klimat jest radosny, umiarkowany, zdrowy; złoto, srebro, najbardziej żyzna gleba, najsmaczniejsze owoce, rośnie mnóstwo ziół leczniczych; tu znajdują się najbardziej skuteczne balsamy, najbardziej przydatne owady do farbowania, najrzadsze marmury, najcenniejsze kamienie szlachetne, zwierzęta i ryby wszelkiego rodzaju. Ale także w ogromnych samotnościach Rio Gila i Sierra Madre niezależni Indianie: Komancze, Paunisi, Pimowie, Opatowie i Apacze¹, wypowiedzieli okrutną wojnę białej rasie, a w trakcie

¹ *Komancze* – plemię Indian z Ameryki Północnej, mówiące językiem z rodziny uto-azteckiej, od końca XVII wieku, po opanowaniu jazdy konnej, wiodło koczownicze życie w południowej części prerii, bardzo wojownicze, walczące z Meksykanami, a potem z Amerykanami, głównie w Teksasie (lata 1840-1875), aż zostało zmuszone do zamieszkania w rezerwach; obecnie jest ich około 17 tysięcy; *Paunisi* (Pancassa, Pari, Pariki, ang. *Pawnee*) – Indianie Ameryki Północnej, zamieszkujący niegdyś tereny obecnego stanu Nebraska, a współcześnie – Oklahomę i inne stany USA; prowadzili częste walki z sąsiednimi plemionami, szczególnie z Dakotami i Czejenami; czasami napadali też na białych kupców, traperów i karawany osadników, lecz utrzymywali przyjazne stosunki z rządem USA i dostarczali zwiadowców wojsku; *Pimowie*, Pima, Indianie Ameryki Północnej zamieszkujący pogranicze USA (ok. 11,5 tys., koniec XX w.) i Meksyku (ok. 700 osób); posługują się językiem należącym do rodziny uto-azteckiej; w przeszłości często walczyli przeciwko Apaczom opowiadając się po stronie Hiszpanii, Meksyku i USA; obecnie mieszkają w kilku rezerwach usytuowanych na terenie ich ojczystych ziem nad rzekami Salt i Gila; podstawą ich tradycyjnej gospodarki było: kopieniacza uprawa ziemi na nawadnianych polach, uzupełniana myślistwem i zbieractwem; *Opatowie* (hiszp. Ópata, 'opata' to rdzenny lud Meksyku) – plemię Indian; terytorium Opatów, „Opateria” po hiszpańsku, obejmuje górzysty północny wschód i środkową część stanu Sonora, sięgając w pobliże granicy ze Stanami Zjednoczonymi; historycznie obejmowało kilka podplemion, w tym ludy Eudeve, Teguiima i Jova; większość miast Opaterii znajdowała się w dolinach rzek i ich gospodarka opierała się na rolnictwie nawadnianym; mówili językiem Opata, językiem uto-azteckim, który obecnie jest wymarły w XVI wieku, w okresie kontaktów z Hiszpanami, Opatowie stanowili najliczniejszą grupę ludności w Sonorze; niektóre źródła wskazują, że jako możliwa do zidentyfikowania grupa etniczna, Opatowie wymarli lub są na skraju wyginięcia; *Apacze* – zespół grup etnicznych Indian Ameryki Północnej, obejmujący co najmniej osiem szczepów, spośród których najbardziej znanymi były szczepy Kiowa, Mescalero, Jicarilla i Chiricahua; nazwa Apacze pochodzi z języka Zuni i znaczy wrogowie lub waleczni ludzie; po rozpoczęciu

nieubłaganych i nieustannych najazdów każą sobie drogo płacić za utratę wszystkich tych bogactw, z których obrabowali ich przodkowie nowoprzybyłych i których zwrotu nieustannie się domagają.

Trzema głównymi miastami Sonory są: Guaymas, Hermosillo i Arispe.

Hermosillo, dawniejsze Pitic, które rozślawiła wyprawa hrabiego de Raousset-Boulbon¹, jest głównym ośrodkiem meksykańskiego handlu na Pacyfiku i liczy ponad dziewięć tysięcy mieszkańców.

To miasto, zbudowane na płaskowyżu, który opada w kierunku północno-zachodnim łagodnym zboczem ku morzu, opiera się i chroni się przed chłodem za wzgórzem zwanym El Cerro de la Campana – Górą Dzwonu – a szczyt tej góry jest zwieńczony ogromnymi blokami kamienia, które po uderzeniu dają wyraźny i metaliczny dźwięk.

Poza tym, podobnie jak inne miejscowości amerykańskie, to *ciudad*² jest brudne, zbudowane z gliny i przedstawia zdumionym podróżnikom mieszaną ruin, zaniedbania i spustoszenia, która zasmuca duszę.

W dniu, w którym zaczyna się ta historia, czyli 17 stycznia 1817 roku, między trzecią a czwartą po południu, kiedy ludność zwykle zażywa sjesty, skryta w głębi swoich domów, normalnie tak spokojne i senne miasto Hermosillo przedstawiało dziwny wygląd.

Tłum *leperos*³, *gambusinos*⁴, przemysłowców, a zwłaszcza *rateros*⁵, tłoczył się z krzykami, groźbami i dzikim wyciem na Calle del Rosario – ulicy Różańcowej. Kilku hiszpańskich żołnierzy – Meksyk w tym

kolonizacji Ameryki przez Europejczyków wyróżnili się walkami najpierw z Hiszpanami, a następnie z Meksykanami i Amerykanami; kulminacja walk przypadła na lata przymusowych wysiedleń (1848-1886); wojny Apaczów z białymi i okres koczowniczego trybu życia plemienia skończyły się z chwilą poddania się wodza Apaczów Geronima (1886).

¹ Charles René Gaston Gustave de Raousset-Boulbon (1817-1854) – francuski awanturnik i flibustier, który założył samowłańczą republikę w regionie Sonora (Meksyk); został rozstrzelany przez meksykańskich żołnierzy; autor spotkał się z nim w Sonorze.

² *Ciudad* (hiszp.) – miasto.

³ *Lepero* (hiszp.) – prostak.

⁴ *Gambusino* (hiszp.) – poszukiwacz minerałów i drogocennych kruszców.

⁵ *Ratero* (hiszp.) – złodziej.

czasie jeszcze nie zrzucił jarzma zwierzchnictwa – na próżno próbowało przywrócić porządek i rozproszyć tłum, uderzając bez zastanowienia na prawo i lewo ciężkimi uderzeniami drzewc włóczni osoby, które wchodziły im w drogę.

Ale zgiełk daleki był od zmniejszenia się – przeciwnie, stale się nasilał, szczególnie Indianie Yaqui¹, zmieszani z tłumem, krzyczeli i gestykulowali w naprawdę przerażający sposób.

Okna wszystkich domów wypełniały głowy kobiet i mężczyzn, wpatrujących się w Cerro de la Campana, u podnóża której unosiły się grube chmury dymu wirujące w kierunku nieba. Wydawało się, że mieszkańcy trwają oczekiwaniu na niezwykle wydarzenie.

Nagle rozległy się głośnie okrzyki, tłum rozpadł się na dwie części jak zbyt dojrzały granat, ludzie odskakiwali na boki z oznakami największego strachu. Młodzieniec – raczej dziecko, ponieważ miał zaledwie szesnaście lat – pojawił się, unoszony niby trąbą powietrzną przez wściekły galop półdzikiego konia.

– Zatrzymajcie go! – krzyczeli jedni.

– Chwytajcie go! – krzyczeli inni.

– *Válgame Dios*!² – szeptały kobiety, żegnając się. – To sam demon!

Ale nikt nie myślał o zatrzymaniu go; unikali go tak szybko, jak to było możliwe. Śmiały chłopiec kontynuował swoją szybką jazdę z drwiącym uśmiechem na ustach, rozpaloną twarzą, iskrzącymi oczami, rzucającymi na prawo i lewo ostre spojrzenia – niczym ciosy *chicote*³ na tych, którzy za bardzo się do niego zbliżali, lub którym ich zły los nie pozwolił odejść tak szybko, jakby tego chcieli.

– Ej! ej! *Caspita*!⁴ – zawołał *vaquero*⁵ o głupiej twarzy i atletycznych kończynach, kiedy dziecko, mijając go, potrąciło. – Niech diabeł

¹ *Yaqui* (Hiaki lub Yoeme) – rdzenny lud Meksyku i plemię indiańskie mówiące językiem Yaqui, należącym do grupy języków uto-azteckich; siedziby plemienia znajdowały się głównie w dolinie rzeki Yaqui w północno-zachodnim meksykańskim stanie Sonora; obecnie w Sonorze znajduje się osiem pueblo Yaqui.

² *Válgame Dios* (hiszp.) – O mój Boże!

³ *Chicote* (hiszp.) – bat, bicz.

⁴ *Caspita* (wł.) – do licha, do diaska!; odpowiednik hiszpańskiego *caramaba*!

⁵ *Vaquero* (hiszp.) – pastuch krów w Ameryce Łacińskiej; jego odpowiednikiem w Ameryce Północnej jest kowboj.

weźmie tego wariata, który prawie mnie przewrócił! Ale – dodał po spojrzeniu na młodego człowieka – nie mylę się, to Rafael, syn mego kamrata! Poczekaj chwilę, *picaro*¹!

Wyduszając te słowa spomiędzy zębów, *vaquero* rozwinął lasso, które nosił przymocowane do pasa i zaczął biec w kierunku jeźdźcy.

Tłum, który zrozumiał jego intencje, klaskał entuzjastycznie.

– Brawo! brawo! – krzyczano.

– Nie pomył się, Cornejo! – zachęcało go kilku *vaqueros*, klaszcząc w dłonie.

Cornejo, skoro znamy imię tej interesującej postaci, nieznacznie zbliżał się do dziecka, przed którym mnożyło się coraz więcej przeszkód.

Jeździec, ostrzeżony przed niebezpieczeństwem okrzykami obserwatorów, odwrócił głowę.

Wtedy dojrzał *vaquero*.

Jego oblicze pokryła sina bladość; rozumiał, że jest zgubiony.

– Pozwól mi się uratować, Cornejo – krzyknął do niego, krztusząc się łzami.

– Nie! nie! – zawył tłum. – Złap go! Chwyć go na lasso!

Motłoch zasmakował w tym polowaniu na człowieka i obawiał się, że zostanie pozbawiony spektaklu, który tak bardzo go zainteresował.

– Poddaj się! – odkrzyknął olbrzym. – Jeśli nie, to ostrzegam cię, że złapię cię jak zwykłego kota.

– Nie poddam się! – odparł zdecydowanie chłopiec.

Dwaj rozmówcy nadal gnali, jeden pieszo, a drugi konno.

Tłum podążał za nimi, wyjąc z przyjemności. Masy są wszędzie barbarzyńskie i bezlitosne.

– Zostaw mnie, powiadam ci – odpowiedział chłopak – albo przy sięgam ci, na błogosławione dusze w czyśćcu, że przydarzy ci się nie-szczęście!

Vaquero parsknął szyderczym śmiechem i zakręcił lassem wokół głowy.

– Słuchaj, Rafael, czy chcesz się poddać? – zapytał po raz ostatni.

– Nie! Po tysiącokroć nie! – zawołał gniewnie chłopak.

– Zatem niech się dzieje wola Nieba! – rzekł *vaquero*.

¹ *Picaro* (hiszp.) – szelma, łobuz.

Lasso świsnęło i poleciało w powietrze. Ale w tej samej chwili stało się coś dziwnego.

Rafael zatrzymał konia, jak gdyby ten został zamieniony w bryłę granitu i wyskoczywszy z siodła, rzucił się na olbrzyma niczym jaguar. Powalił go na piasek, i zanim ktokolwiek mógł mu się przeciwstawić, zanurzył w jego gardle nóż, który Meksykanie zawsze noszą przy pasie.

Długi strumień krwi trysnął na twarz dziecka, a vaquero wił się przez kilka sekund, po czym znieruchomiał. Był martwy!

Tłum wydał okrzyk strachu i przerażenia.

Szybko jak błyskawica chłopak wrócił na siodło i ponownie rozpoczął desperacką jazdę, wymachując nożem i śmiejąc się z uśmiechem demona na ustach.

Kiedy po pierwszej chwili osłupienia chciano znów zacząć gonić mordercę, już go nie było.

Nikt nie mógł powiedzieć, w którą stronę się udał.

Jak zawsze w takich okolicznościach, *juez de letras* – sędzia kryminalny otoczony chmurą obdartych *alguazils*¹ – przybył na miejsce zabójstwa, gdy było już po wszystkim.

Juez de letras, don² Inigo Tormentos Albaceyte, był mężczyzną w wieku około pięćdziesięciu lat, niskim i otyłym, z apoplektyczną twarzą, który zażywał hiszpańską tabakę ze złotego pudełka ozdobionego diamentami i pod pozorną dobroduszością ukrywał głębokie skąpstwo połączone z niezwykle przebiegłością i zimną krwią, której nic nie może wzburzyć.

Wbrew temu, co można by przypuszczać, godny sędzia nie wydawał się najmniej na świecie zaskoczony ucieczką mordercy. Dwa lub trzy razy pokiwał głową, rzucił spojrzenie na tłum i mrużąc swoje małe szare oczka oraz filozoficznie napełniając nos tabaką, rzekł:

– Biedny Cornejo, prędzej czy później musiało się mu to przydarzyć.

– Tak, został dobrze zabity – potwierdził jakiś *lepero*.

¹ *Alguazil* (port., hiszp. *alguacil*) – sędzia, oficer ds. kryminalnych, woźny sądowy, strażnik.

² *Don* (hiszp.) – pan.

– Tak też pomyślałem – odparł sędzia. – Ten, kto zadał to pchnięcie, był facetem mającym doświadczoną rękę.

– Ach, chyba tak... – odpowiedział *lepero*, wzruszając ramionami – ale to było dziecko.

– Ba! – rzekł sędzia z udawanym zdziwieniem i zerkając na swojego rozmówcę. – Dziecko!

– Mniej więcej – stwierdził *lepero*, dumny, że jest wysłuchiwany – to Rafael, najstarszy syn *don Ramona*.

– Ach, patrzcie, patrzcie – powiedział sędzia z tajoną satysfakcją, po czym kontynuował: ale nie, to nie jest możliwe; Rafael ma tylko szesnaście lat i nie walczyłby z Cornejem, który tylko ścisnąwszy go za ramię, mógłby go okaleczyć.

– Tak jednak było, Ekscelencjo, wszyscy to widzieliśmy. Rafael grał w monte¹ u *don Aguilara*, wygląda na to, że szczęście mu nie sprzyjało, stracił wszystkie pieniądze jakie miał, a potem wpadł we wściekłość i aby się zemścić, podpalił dom.

– *Caspita!* – zawołał sędzia.

– Tak, jak miałem honor panu oświadczyć, Ekscelencjo, spójrz, wciąż możemy zobaczyć dym, chociaż z domu pozostały popioły.

– Rzeczywiście – odrzekł sędzia, zerkając w stronę wskazaną przez *lepero* – a następnie...

– Potem – kontynuował ten – naturalnie chciał uciec, więc Cornejo próbował go zatrzymać...

– Miał rację!

– On nie miał racji, skoro Rafael go zabił!

– Zgadza się – potwierdził sędzia – ale nie martwcie się, moi przyjaciele, sprawiedliwość go pomści.

Ta obietnica została powitana przez obecnych z uśmiechami powątpiewania.

Sędzia, nie dbając o wrażenie wywołane jego słowami, nakazał swoim akolitom, którzy już przeszukali i obrabowali zmarłego, zabranie

¹ *Monte* – hiszpańska hazardowa gra karciana, po roku 1848 popularna w Teksasie, potem w całej zachodniej części Stanów Zjednoczonych; używa się do niej talii 40-kartowej, gra przeciwko bankierowi, określa się tak również niektóre wersje trzykartowego pokera.

ciała i przetransportowanie do przedsionka pobliskiego kościoła, po czym wrócił do swego domu, zacierając ręce z zadowoloną miną.

Sędzia włożył podróżny strój, wcisnął za pas parę pistoletów, przymocował do boku długą szpadę i po zjedzeniu lekkiego posiłku, wyszedł.

Dziesięciu *alguazils* uzbrojonych po zęby i siedzących na silnych koniach czekało na niego przy drzwiach; sługa trzymał za uzdę wspaniałego czarnego konia, który tupał kopytami i niecierpliwie gryzł wędzidło. *Don Inigo* wskoczył na siodło, zajął miejsce na czele swoich ludzi i oddział ruszył lekkim kłusem w drogę.

– Ho! ho! – mówili ciekawscy, którzy znajdowali się w pobliżu progu domu. – Sędzia Albaceyte udaje się do *don Ramona Garillasa*; jutro będziemy mieli nowiny.

– *Caspita!* – odpowiadali inni. – Jego syn, *picaro*, zasłużył na sznur, który zostanie użyty do powieszenia go!

– Hm! – powiedział *lepero* z uśmiechem żalu. – To byłoby niefortunne. Na honor ten zuch tak dobrze się zapowiadał! jego *cuchillada*¹ zadana *Cornejowi* była wspaniała. Biedak został dobrze zabity.

Tymczasem sędzia nadal jechał dalej, oddając z największą regularnością pozdrowienia, jakimi go obdarzano po drodze i wkrótce znalazł się na wolnej przestrzeni.

Wówczas owinął się ciaśniej płaszczem i zapytał:

– Czy macie naładowaną broń?

– Tak, Ekscelencjo – odpowiedział szef *alguazils*.

– W porządku! Zatem szybko jedziemy do hacjendy *Ramona Garillasa*; postarajmy się tam dostać przed zmrokiem.

Oddział ruszył w drogę galopem.



¹ *Cuchillada* (hiszp.) – pchnięcie nożem, ranienie.

Rozdział II

Hacjenda del Milagro

kolice Hermosillo są niczym prawdziwe pustynie. Droga, która prowadzi z tego miasteczka do hacjendy del Milagro – Farmy Cudu – jest najsmutniejsza i najbardziej sucha.

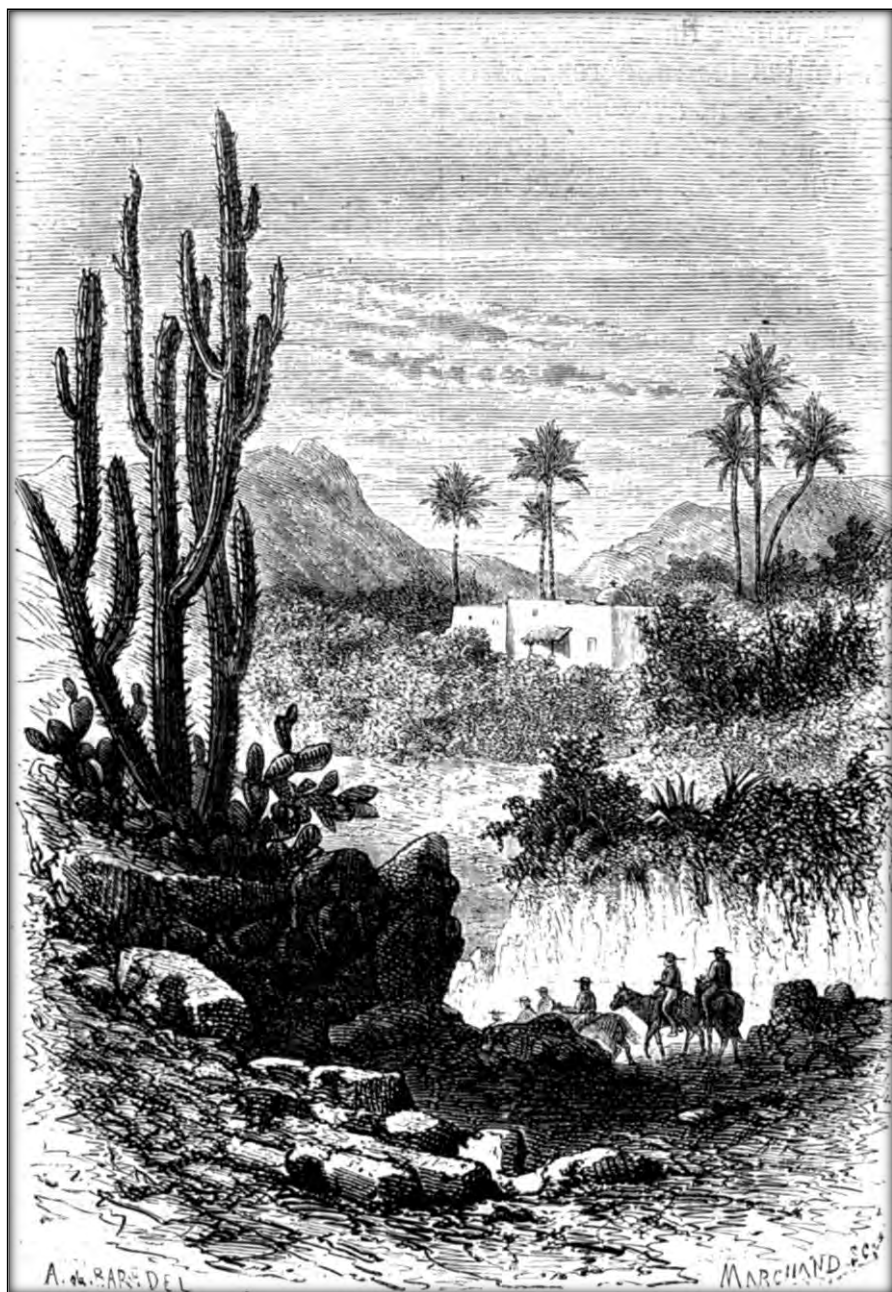
Jedynie od czasu do czasu widać tylko drzewa żelazne, drzewa gumowe, drzewa z Peru o czerwonych i pikantnych gronach, nopale¹ i kaktusy – jedyne okazy jakie mogą rosnąć na ziemi wypalanej prostopadłymi promieniami żarzącego się słońca.

Od czasu do czasu pojawiają się, jak gorzkie szyderstwo, długie żerdzie cystern mających z jednej strony wiadro ze skrzyconej i pomarszczonej skóry, a z drugiej kamienie przymocowane rzemieniami; jednak te cysterny są osuszone, a ich dna to nic innego jak czarna, błotnista skorupa, w której igra mnóstwo plugawego robactwa. Wiry drobnego, nieuchwytnego pyłu unoszone przez najdelikatniejszy poddmuch powietrza chwytają za gardło sapiącego podróżnika, a pod każdym źdźbłem wysuszonej trawy cykadady wściekle potykają dobroczynną nocną rosę.

Jednak kiedy z ogromnymi trudnościami pokona się sześć lig² w tych płonących samotnościach, oko może z rozkoszą spocząć na wspaniałej oazie, która nagle wydaje się wyłaniać z łona piachu.

¹ *Drzewo żelazne* – nazwa stosowana wobec wielu gatunków drzew, należących do różnych rodzin, pochodzących głównie z rejonów tropikalnych i subtropikalnych, wyróżniających się bardzo twardym drewnem; *drzewo gumowe* – drzewo, z którego pozyskuje się gumę arabską; obejmuje liczne rodzaje drzew, głównie akacje; także niektóre gatunki eukaliptusów; *drzewo z Peru* – schinus peruwiański, peruwiańskie drzewo pieprzowe (*Schinus molle*), gatunek drzewa z rodziny nanerczowatych; pochodzi z południowych obszarów tropikalnych Ameryki Południowej; *nopal* (*Opuntia streptacantha*) – drzewiasty kaktus z rodzaju *Opuntia*, na którym żyją koszenile; pochodzi z Ameryki Środkowej.

² *Liga* (ang. *league*) – tu: anglosaska miara długości, równa trzem milom angielskim; tu: liga łądowa (*land league*) równa 4828,032 m.



Ten Eden to jest hacienda del Milagro.

Ten Eden to jest hacjenda del Milagro. W epoce, kiedy dzieje się nasza historia, owa hacjenda, jedna z najbogatszych i największych w prowincji, składała się z dwupiętrowego budynku, wzniesionego z *tapii*¹ i *adobes*², o tarasowatym dachu z trzin pokrytych ubitą ziemią.

Do hacjendy wjeżdżało się przez ogromny dziedziniec, przez wejście w kształcie łukowatego portyku było wyposażone w mocną dwuskrzydłową bramę i furtkę po jednej ze stron. Cztery pokoje uzupełniały fasadę, okna miały połączane żelazne kraty i wewnętrzne okiennice; były oszklone, co w tym kraju było wówczas niesamowitym luksusem; po każdej stronie dziedzińca lub tego niby patio³ znajdowały się budynki gospodarcze dla peonów⁴, dzieci i innych osób.

Parter głównego budynku składał się z trzech pokoi, swego rodzaju dużego przedsiionka wyposażonego w antyczne fotele i sofy pokryte kordybanem⁵, duży stół z nopalu i kilka taboretów; na ścianach zawieszonych było w złożonych ramach kilka starych naturalnej wielkości portretów członków rodziny. Belki sufitowe, pozostawione wolne, zostały ozdobione mnóstwem rzeźb.

Na salon otwierały się dwuskrzydłowe drzwi. Strona przed patio była podniesiona około stopy⁶ nad resztę podłogi pokrytej dywanem z rzędem niskich taboretów, ciekawie rzeźbionych, obszytych szkarłatnym aksamitem z poduszkami do ułożenia stóp; był też mały kwadratowy stół o wysokości osiemnastu cali⁷, służący jako blat roboczy. Ta część salonu została zarezerwowana dla pań, które siedzą tam po

¹ *Tapia* (hiszp.) – mur z glinianych wypalanych cegieł.

² *Adobe* (z hiszp.) – cegła suszona, podstawowy, obok drewna i kamienia, materiał budowlany używany w rejonach świata o gorącym klimacie; suszona na słońcu i nie wypalana; otrzymywana z gliny, ilu lub mułu wymieszanego z trawą lub słomą.

³ *Patio* – dziedziniec wewnętrzny większego domu mieszkalnego, najczęściej wyłożony płytkami, z roślinnością, rzeźbami, basenem.

⁴ *Peon* (hiszp.) – w Ameryce Łacińskiej: robotnik, zwłaszcza robotnik rolny, wyrobnik.

⁵ *Kordyban* (kurdyban) – wytłaczana, barwiona skóra kozła, w gorszych gatunkach cielęca lub owcza; kordybany były używane przede wszystkim na barwne obuwie, a także na obicia ścian i mebli; wyrób kordybanów rozwinął się w średniowieczu w Kordobie (stąd nazwa), od XV-XVI wieku również w środkowej Europie; w Polsce cechy kordybaniarskie powstały w XVI wieku, zanikły w XIX wieku.

⁶ *Stopa* – tu: anglosaska jednostka długości równa 30,48 cm.

⁷ *Cal* – tu: anglosaska jednostka długości, jedna dwunasta stopy, równa 2,54 cm.

turecku. Po drugiej stronie salonu znajdowały się krzesła pokryte tym samym materiałem co taborety i poduszki; naprzeciwko wejścia do salonu otwierała się główna sypialnia z wnęką na końcu platformy, na której umieszczono ceremonialne łoże ozdobione nieskończoną ilością złocen i brokatowych zasłon ze złotymi oraz srebrnymi chwościami i frędzlami. Bielizna pościelowa i poszewki na poduszki były z najlepszego płótna i oprawione szerokimi koronkami.

Za głównym budynkiem znajdowało się drugie patio, na którym umieszczono kuchnię i *corral*¹; za tym dziedzińcem ukazywał się ogromny ogród, zamknięty murami, długi na ponad sto prętów², ukształtowany w stylu angielskim i zawierający najbardziej egzotyczne drzewa i inne rośliny.

Hacjenda świętowała.

Był to czas *matanza del ganado* – uboju bydła. Peoni utworzyli niedaleko od hacjendy zagrodę, w której po wprowadzeniu bydła oddzielali chude sztuki od tłustych, wypędzanych jedna po drugiej z zagrody.

Vaquero – uzbrojony w narzędzie tnące w kształcie półksiężyca z ostrymi końcami umieszczonymi w odległości stopy od siebie – ukryty w zasadzce przy wrotach zagrody, podcinał z niesamowitą zręcznością ścięga podkolanowe biednych zwierząt w miarę jak go mijały.

Jeśli przypadkiem chybiał, co bywało rzadkością, drugi *vaquero* na koniu galopował za zwierzęciem, zarzucał mu lasso wokół rogów i przytrzymywał tak długo, aż pierwszy zdołał podciąć mu ścięgna.

Niedbale opierając się o portyk hacjendy, mężczyzna po czterdziestce, ubrany w bogaty kostium wiejskiego szlachcica, z ramionami okrytymi *sarape*³ o jaskrawych barwach i głową chronioną od promieni słonecznych zachodzącego słońca przez wspaniałą panamę⁴

¹ *Corral* (hiszp. zagroda) – określenie ogrodzonych wybiegów dla koni, owiec i bydła.

² *Pręt* – dawna miara długości, pręt anglosaski (*rod*) liczy 5,5 jarda (16,5 stóp), czyli 5,03 metra.

³ *Sarape* (zarape, hiszp.) – wełniany szal lub koc noszony jako peleryna w Ameryce Łacińskiej.

⁴ *Panama* – lekki kapelusz pleciony z liści rośliny łyczkowiec dłoniasty; pochodzi z Ekwadoru, ale popularność w całym świecie zdobył w czasach budowy Kanału Panamskiego, stąd nazwa.

o wartości co najmniej pięciuset piastrow¹ zdawał się przewodzić tej scenie, paląc kukurydzianą cygaretkę.

Był panem o wyniosłej postawie, o smukłej sylwetce, dobrze wyklepionej i idealnie proporcjonalnej, dobrze zarysowanymi rysami twarzy, o zdecydowanych i twardych liniach oznaczających lojalność, odwagę, a przede wszystkim żelazną wolę. Jego wielkie czarne oczy, ocienione gęstymi brwiami, pokazywały nieporównywalną łagodność, ale kiedy lekkie rozdrażnienie zabarwiała jego brązową cerę rumieńcem, ich spojrzenie zaczynało wyrażać stałość i siłę, której nikt nie mógł znieść i przez co najodważniejsi wahali się i drżeli.

Jego małe ręce i stopy, a przede wszystkim arystokratyczna pieczęć odcisnięta na jego osobie, już na pierwszy rzut oka wskazywały, że ten człowiek pochodził z czystej i szlachetnej rasy kastylijskiej.

Rzeczywiście, tym osobnikiem był *don* Ramon Garillas de Saavedra, właściciel hacjendy del Milagro, którą właśnie opisaliśmy.

Don Ramon Garillas pochodził z hiszpańskiej rodziny, której przodkiem był jeden z głównych poruczników Corteza, osiadły w Meksyku po cudownym podboju tego genialnego awanturnika.

Cieszący się książęcą fortuną, ale odrzucony przez władze hiszpańskie z powodu małżeństwa z kobietą mieszaną rasy azteckiej, poświęcił się całkowicie uprawie swoich ziem i ulepszeniu swych rozległych posiadłości.

Po siedemnastu latach małżeństwa stał się głową dużej rodziny złożonej z sześciu chłopców i trzech dziewczynek, łącznie dziewięćdziesięciu dzieci, w tym najstarszego Rafaela, którego widzieliśmy tak zręcznie zabijającego *vaquero*.

Małżeństwo *don* Ramona i *doña*² Jesusity było jedynie małżeństwem z rozsądku, zawartym wyłącznie dla fortuny, ale mimo to czyniło ich względnie szczęśliwymi; mówimy „względnie”, ponieważ młoda dziewczyna opuściła klasztor tylko po to, aby wyjść za mąż,

¹ *Piastr* – moneta bita w różnych państwach, w Hiszpanii i Ameryce Łacińskiej (odpowiednik peso), Turcji, na Bliskim Wschodzie, we francuskich Indochinach; na wielu obszarach stał się synonimem monety obiegowej.

² *Doña* – pani, hiszpański tytuł grzecznościowy, łączony z imieniem kobiety.

więc nigdy nie istniała między nimi miłość, ale została ona zastąpiona czułym i szczerym przywiązaniem.

Doña Jesusita spędzała czas na opiece jakiej wymagały jej dzieci, wśród swoich kobiet Indianek; ze swojej strony jej mąż całkowicie pochłonięty obowiązkami swojego życia jako wiejski szlachcic, prawie zawsze przebywał ze swoimi *vaqueros*, peonami i myśliwymi, widując się z żoną tylko przez kilka minut w czasie posiłków, a czasami przez całe miesiące pozostawał nieobecny z powodu polowań nad brzegami Rio Gila¹.

Musimy jednak dodać, że *don* Ramon, nieobecny lub obecny, dokładał wszelkich starań, aby niczego nie brakowało do dobrego samopoczucia jego żony i że spełniał każdy jej kaprys, ani nie oszczędzając ani pieniędzy, ani nie zważając na kłopoty, byle tylko zdobyć to, czego chciała.

Doña Jesusita została obdarzona cudownym pięknem i anielską słodyczą. Wydawało się, że zaakceptowała – jeśli nie z radością, to przynajmniej bez większego bólu, tryb życia, do którego zobowiązał ją mąż; ale po głębi jej dużych, melancholijnych czarnych oczach, po bledości jego rysów, a zwłaszcza po chmurze smutku, nieustannie przesłaniającej piękne czoło o matowej bieli, łatwo było zgadywać, że w tym kuszącym posagu była zamknięta żarliwa dusza i że to właśnie serce każe kobiecie ignorować samą siebie, zwracając wszystkie jej myśli ku dzieciom, które uwielbiała z wszystkimi dziewiczymi siłami macierzyńskiej miłości, najpiękniejszymi i najzdrowszymi ze wszystkich.

Co do *don* Ramona, zawsze dobrego i uprzejmego dla swojej żony – choć nigdy nie zadał sobie trudu poznania jej głębiej, to miał prawo wierzyć, że była najszcześliwszą istotą na świecie, którą rzeczywiście stała się, gdy Bóg uczynił ją matką.

¹ *Gila*, River (Rio) Gila – rzeka w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, przepływająca przez stany Nowy Meksyk i Arizonę, dopływ rzeki Kolorado; ma długość 1044 kilometrów (649 mil), powierzchnię dorzecza 150,7 tys. km²; źródła rzeki znajdują się w Gila Hot Springs i Gila Cliff Dwellings National Monument w południowo-zachodniej części Nowego Meksyku.

Było już kilka minut po zachodzie słońca, niebo stopniowo traciło purpurowy odcień i coraz bardziej ciemniało. Kilka gwiazd zaczęło już migotać, a wieczorny wiatr wzrósł z siłą, która zapowiadała jedną z tych strasznych nocnych burz, jakie często wybuchają w tych regionach.

Majordomus¹ po starannym zamknięciu reszty *ganado* w zagrodzie, zebrał *vaqueros* oraz peonów i wszyscy udali się do hacjendy, gdzie bicie dzwonu oznajmiało im wieczerzę i to, że w końcu nadeszła godzina odpoczynku.

Kiedy majordomus przybył ostatni, kłaniając się swemu panu, ten go zapytał:

– No cóż, mój Eusebio, ile głów mamy w tym roku?

– Czterysta pięćdziesiąt, mój panie – odparł majordom, wysoki, suchy i chudy mężczyzna, z siwiejącą głową i twarzą opaloną jak kawałek skóry. Zatrzymując konia i zdejmujący kapelusz, powiedział: – To znaczy siedemdziesiąt pięć głów więcej niż w ubiegłym roku; nasi sąsiedzi, jaguary i Apacze, nie wyrządzili nam dużych szkód w tym sezonie.

– Dziękuję ci, mój Eusebio – odpowiedział *don Ramon*. – Twoja czujność była ekstremalna, będę wiedział jak cię za to wynagrodzić.

– Dla mnie najlepszą nagrodą jest dobre słowo, które właśnie wypowiedział do mnie panie – odrzekł majordom, którego szorstka twarz rozjaśniła się z uśmiechem zadowolenia. – Czyż nie powinienem pilnować tego, co należy do pana z taką samą starannością jakby to wszystko było moje?

– Dziękuję – rzekł pan, serdecznie potrząsając ręką swojego sługi. – Wiem, że jesteś mi oddany.

– Na życie i na śmierć, mój panie. Moja matka karmiła cię swoim mlekiem, należę do pana i pana rodziny.

– No dalej! Chodźmy, Eusebio – powiedział radośnie hacjender. – Kolacja jest gotowa, *señora*² musi być przy stole, nie pozwólmy jej dłużej czekać.

¹ *Majordomus* (majordom) – zarządca wielkopańskich dworów; tu: szef personelu hacjendy.

² *Señora* (hiszp.) – pani.

Obaj weszli na patio i Eusebio, jak nazwał go *don Ramon*, przygotowywał się, jak co wieczór, do zamknięcia drzwi.

Tymczasem *don Ramon* wszedł do jadalni hacjendy, gdzie zgromadzili się wszyscy *vaqueros* i peoni.

Ta jadalnia była wyposażona w ogromny stół, który zajmował całe centrum; wokół tego stołu stały drewniane ławy wyłożone skórą i dwa rzeźbione fotele przeznaczone dla *don Ramona* i *señory*. Za fotelami wisiał na ścianie wysoki na cztery stopy Chrystus z kości słoniowej. Znajdował się między dwoma obrazami –: jeden to „Jezus w Ogrodzie Oliwnym”, drugi „Kazanie na Górze”. Tu i ówdzie na pobielonych ścianach szczyrzyły zęby łby jaguarów, bawołów lub łosi zabitych na polowaniu przez hacjendera.

Stół był obficie zaopatrzony w *lahua*, czyli gęstą zupę z mąki kukurydzianej gotowanej z mięsem, *puchero*¹ *olla podridę*² i *pepian*³; w regularnych odległościach rozstawiono butelki mescal⁴ i karafki z wodą.

Na znak z hacjendera zaczął się posiłek.

Wkrótce też z furią wybuchła groźna burza.

Deszcz lał się potokami, a co chwilę sinawe błyskawice powodowały, że światła gasły, poprzedzając straszliwe huki piorunów.

Pod koniec posiłku huragan stał się tak gwałtowny, że zgiełk szalejących elementów przyrody przebijał hałas rozmów.

¹ *Puchero* – potrawa ciesząca się największą popularnością w kuchni hiszpańskiej oraz krajach Ameryki Południowej, którą przyrządza się z kawałków mięsa różnego rodzaju oraz warzyw, np. grochu, papryki, kapusty, kukurydzy itd.; odpowiednikiem *puchero* może być bigos bądź leczko.

² *Olla podrida* (z hiszp. dosł. zgniły garnek) – hiszpańska potrawa jednogarnkowa, gotowana z resztek; mogą składać się na nią różnego typu mięsa i wędliny (np. kielbasa czosnkowa lub szynka), warzywa, groch, soczewica, fasola i ryż (fakultatywnie lub łącznie).

³ *Pepian* – gęsta mięsna zupa, jedno z najstarszych i najbardziej rozpoznawalnych dań kuchni gwatemalskiej, którego pochodzenie datowane jest na kolonialną przeszłość Gwatemali i kuchnię tubylczą; mięsna zupa, zagęszczona pestkami dyni, może być przyrządzana z wołowiny lub kurczaka (wołowina jest bardziej popularna w ośrodkach miejskich); w tradycyjnych przepisach zawiera pomidory, paprykę i ostrą papryczkę chili.

⁴ *Mescal* (meskal) – meksykański mocny napój alkoholowy otrzymywany z gotowanych i destylowanych liści różnych gatunków agawy.

Grzmoty piorunów wybuchły ze strasliwą siłą, wiejący wiatr wpadł do pokoju, wybijając okno, wszystkie światła zgasły, a zgromadzeni ludzie żegnali się z bojaźnią.

W tej chwili dzwon umieszczony przy bramie hacjendy rozbrzmiał z konwulsyjnym hałasem i głos, w którym nie było nic ludzkiego, dwa razy wykrzyczał:

– Pomocy...! Pomocy...!

– Na krew Chrystusa! – zawołał *don Ramon*, wybiegając z sali. – Kogoś morduje się na równinie!

Niemal w tym samym czasie rozległy się dwa strzały, gdzieś w przestrzeni rozległ się krzyk agonii i ponownie zapadła złowroga cisza.

Nagle ciemność rozdarła błyskawica, grzmot wybuchł z okropnym trzaskiem, a na progu pokoju pojawił się *don Ramon*, niosąc w ramionach nieprzytomnego mężczyznę.

Nieznajomy został umieszczony na siedzeniu, a wokół niego zgromadzili się ludzie.

Ani twarz tego człowieka, ani jego wygląd nie były niczym nadzwyczajnym, jednak po zobaczeniu go Rafael, najstarszy syn *don Ramona*, nie był w stanie powstrzymać gestu strachu, a jego twarz przybrała intensywną błądź.

– Och! – szepnął cicho. – To *juez de letras*...!

Był to rzeczywiście zacny sędzia, którego widzieliśmy opuszczającego *Hermosillo* z tak wspaniałą ekipą.

Długie, mokre od deszczu włosy opadały mu na klatkę piersiową, jego ubranie było w nieładzie, w wielu miejscach zakrwawione i podarte.

Jego prawa ręka konwulsyjnie ścisnęła kolbę rozładowanego pistoletu.

Don Ramon także rozpoznał że to *juez de letras*, mimo to rzucił swemu synowi spojrzenie, którego ten nie potrafił znieść.

Dzięki starannej opiece, której udzieliły mu *doña Jesusita* i jej kobiety, sędzia powoli odzyskiwał zmysły. Westchnął głęboko, otworzył omdlałe oczy, skierował na obecnych, ale jeszcze nic nie widząc, i stopniowo odzyskiwał przytomność.



Rafael

Nagle na jego czole, tak bladym przed chwilą pojawił się jasny rumieniec. Jego oczy rozbłyły. Kierując w stronę Rafaela spojrzenie, które przygwoździło go do ziemi jak ofiarę nieprzewycięzonego strachu, podniósł się ciężko i zbliżając się do młodego człowieka, który obserwował go, nie ośmielając się uciec. Ciężko położył dłoń na jego ramieniu, a potem zwrócił się do peonów, przerażonych tą dziwną sceną, chociaż nic z niej nie rozumieli.

– Ja, *don Inigo Tormentos Albaceyte* – powiedział poważnym głosem – *juez de letras* z miasta Hermosillo, w imię króla aresztuję tego człowieka oskarżonego o zabójstwo...!

– Łaski! – zawołał Rafael, padając na kolana i rozpaczliwie składając dłonie.

– Nieszczęście...! – szepnęła biedna matka, mdlejąc na swoim fotelu.



Rozdział III

Wyrok

Następnego dnia na horyzoncie wstało wspaniałe słońce. Nocna burza całkowicie oczyściła niebo, które stało się błękitne; ptaki radośnie świergotały, schowane pośród listowia – wszystko w naturze powróciło do zwykłego odświeżonego wyglądu.

W hacjendzie del Milagro zadzwonił dzwon, peoni zaczęli się rozchodzić we wszystkich kierunkach – jedni prowadzili konie na *pasto*¹, drudzy prowadzili bydło na sztuczne prerie, inni kierowali się na pola, w końcu ostatni byli zajęci na patio dojeniem krów i naprawianiem szkód spowodowanych przez huragan.

Jedynymi śladami po nocnej burzy były dwa wspaniałe jaguary leżące martwe przed bramą hacjendy, niedaleko zwłok częściowo pożartego konia.

Eusebio, który spacerował po patio, uważnie monitorując pracę wszystkich podwładnych, kazał zdjąć i wyczyścić bogatą uprzęż konia, a także zlecił natychmiastowe usunięcie skór jaguarów. Zostało to zrobione w mgnieniu oka.

Jednak Eusebio był bardzo zaniepokojony, bowiem *don Ramon*, który zwykle pierwszy wstawał w hacjendzie, jeszcze się nie pojawił.

Poprzedniego wieczora, wskutek gwałtownego oskarżenia rzucenego przez *jueza de letras* przeciwko najstarszemu synowi hacjendera, ten ostatni rozkazał swoim sługom wycofać się i po tym, jak został sam, pomimo łez i prośb żony, mocno związanej z synem, zabrał *don Iniga Albaceyte* do ustronnego pokoju na farmie, gdzie obaj pozostali zamknięci do późnych godzin nocnych.

Co wydarzyło się w czasie tej rozmowy, podczas której musiano zdecydować o losie Rafaela? Nikt tego nie wiedział, a Eusebio nie więcej niż inni.

¹ *Pasto* (hiszp.) – pastwisko.

Don Ramon, po odprowadzenia *don Iniga* do pokoju, który kazał dla niego przygotować, i życząc mu dobrej nocy, poszedł do syna, przy którym wciąż płakała biedna matka; bez słowa wziął dziecko w ramiona i zabrał do sypialni, gdzie położył je na podłodze przy swoim łóżku. Następnie hacjender zamknął drzwi na klucz i leżał na łóżku z dwoma pistoletami pod poduszką. Tak minęła noc; ojciec i syn rzucali w ciemność spojrzenia dzikich zwierząt, a biedna matka klęczała u progu tego pokoju, do którego zabroniono jej wstępu, płacząc cicho nad swoim pierworodnym, który – miała takie straszne przeżycie – miał zostać jej zabrany na zawsze.

– Hm! – mruknął do siebie majordomus, nie zastanawiając się nad tym, że gryzie koniec zgaszzonego papierosa. – Co się stanie z tym wszystkim? *Don Ramon* nie jest człowiekiem, który wybacz, nie pójdzie na kompromis ze swoim honorem. Czy przekaże syna w ręce sprawiedliwości? Och, nie! Ale co on zatem zrobi?

Zacny majordom był pogrążony w tych refleksjach, gdy *don Inigo Albaceyte* i *don Ramon* pojawili się na patio.

Twarze dwóch mężczyzn były surowe, szczególnie twarz hacjendera była ciemna jak noc.

– Eusebio – powiedział *don Ramon* ostrym tonem – osiodłaj konia i przygotuj eskortę z czterech ludzi, która odprowadzi tego jeźdźcę do *Hermosillo*.

Majordom skłonił się z szacunkiem i natychmiast wydał niezbędne rozkazy.

– Dziękuję po tysiącuroc – kontynuował *don Ramon*, zwracając się do sędziego – ratuje pan honor mojego domu.

– Nie musi pan być mi tak wdzięczny, *señor*¹ – odpowiedział *don Inigo*. – Przysięgam, że kiedy wczoraj opuszczałem miasto, nie miałem zamiaru być dla pana miły.

Hacjender machnął tylko ręką.

– Niech się pan postawi na moim miejscu. Przede wszystkim jestem sędzią kryminalnym; został zamordowany człowiek, zły facet, przyznaję, ale człowiek, choć najgorszego rodzaju. Morderca był znany,

¹ *Señor* (hiszp.) – pan.

przegalopował przez miasto, w pełnym słońcu, na oczach wszystkich, z niesamowitą bezczelnością, więc co miałem zrobić? Nie zawahałem się ruszyć w pościg.

– To prawda – szepnął *don Ramon*, opuszczając głowę.

– I pomyliłem się, bo dranie, którzy mi towarzyszyli, zostawili mnie jak tchórze w obliczu burzy, aby się ukryć, nie wiem gdzie; na domiar złego dwa jaguary, wspaniałe bestie, rzuciły się za mną w pościg i przycisnęły mnie tak mocno, że upadłem jak kamień przy pańskiej bramie. Co prawda zabiłem jednego, ale drugi był bliski chapięcia mnie, kiedy przyszedł mi pan z pomocą. Czy mogę po czymś takim aresztować syna człowieka, który uratował mi życie z narażeniem własnego? To byłoby działanie z najczarniejszą niewdzięcznością.

– Jeszcze raz dziękuję.

– Teraz jesteśmy kwita, to wszystko. Nie mówię o kilku tysiącach piastrow, które mi pan dał, ponieważ zostaną wykorzystane do zamknięcia ust moim chciwym ludziom. Tylko proszę cię, *don Ramon*, uważaj na syna, bo jeśli znów wpadnie w moje ręce, nie wiem, jak zdołam go uratować.

– Nie martw się, *don Inigo*, mój syn nigdy nie wpadnie w twoje ręce.

Hacjender wypowiedział te słowa tak ponurym głosem, że sędzia odwrócił się gwałtownie i zadrżał.

– Uważaj na to, co chcesz zrobić! – powiedział.

– Och, nic się nie bój! – odrzekł *don Ramon*. – Ja tylko nie chcę, aby mój syn wspiął się na szafot i wytarzał moje nazwisko w błocie. Będę wiedział, jakie wydać rozkazy.

W tym momencie przyprowadzono wierzchowca.

Juez de letras wskoczył na siodło.

– Zatem żegnam, *don Ramon* – powiedział pobłażliwym głosem. – Bądź ostrożny; ten młody człowiek wciąż może się poprawić; ma tylko gorącą krew, nic więcej.

– Żegnaj, *don Inigo Albaceyte* – odpowiedział suchym tonem hacjender, nic już nie dodając.

Sędzia pokiwał głową i po ostatnim pożegnalnym geście dla *farmera*, ukuwszy ostrogami swego konia, ruszył w drogę pełnym kłusem, mając za sobą swoją eskortę.

Farmer śledził go wzrokiem tak długo, jak go widział, a potem wrócił do hacjendy.

– Eusebio – powiedział do majordomusa – zadzwoń dzwonem, aby zebrać wszystkich peonów, a także innych służących hacjendy.

Majordom, spojrzawszy ze zdumieniem na swego pana, pośpiesznie wykonał polecenie, jakie otrzymał.

– Co to wszystko znaczy? – zapytał sam siebie.

Na dźwięk dzwonu ludzie zatrudnieni na farmie pośpiesznie przybiegli, nie wiedząc, co przypisywać temu niezwykle mu wezwaniu.

Wkrótce wszyscy zebrali się w wielkiej sali, która służyła też jako jadalnia. Zapanowało wśród nich zupełne milczenie. Sekretne udręka ścisła ich serca. Mieli przeczucie okropnego wydarzenia.

Po kilku minutach oczekiwania weszła *doña* Jesusita w otoczeniu swoich dzieci, z wyjątkiem Rafaela, i usiadła na podwyższeniu przygotowanym na jednym końcu sali.

Jej twarz była blada, a czerwone oczy wskazywały, że płakała.

Po chwili pojawił się *don* Ramon.

Włożył pełny ubiór szlachcica, wykonany z czarnego aksamitu, bez haftów. Na piersi miał zawieszony ciężki złoty łańcuszek; jego głowę okrywał czarny filcowy kapelusz z szerokim rondem, ozdobiony piórami orła, a z lewego boku zwisała mu długa szpada z gardą z polerowanej stali.

Czoło miał pokryte zmarszczkami, a brwi połączone nad czarnymi oczami, które wydawały się rzucać błyskawice.

Dreszcz strachu przebiegł przez szeregi zgromadzenia. *Don* Ramon Garillas włożył strój wymierzającego sprawiedliwość.

Czy należało wymierzyć komuś sprawiedliwość? Ale komu?

Kiedy *don* Ramon zajął miejsce po prawej stronie swojej żony, dał znak.

Majordomus wyszedł i wrócił chwilę później razem z Rafaelem.

Młody mężczyzna miał odsłoniętą głowę i związane za plecami ręce.

Z opuszczonym wzrokiem i bladą twarzą stanął przed ojcem, którego powitał z szacunkiem.

W okresie, kiedy dzieje się nasza historia, szczególnie na ziemiach oddalonych od centrów siedzib ludzkich i narażonych na ciągłe najaz-

dy Indian, głowy rodzin zachowały w całej swej czystości tę patriarchalną władzę, którą nasza zdeprawowana cywilizacja stara się zmniejszać, a nawet usuwać. Ojciec był władcą w swoim domu, jego wyroki były ostateczne i wykonywane bez szemrania i bez oporu.

Mieszkańcy farmy znali mocny charakter i nieustępliwą wolę swego pana; wiedzieli, że nigdy nie wybaczal, że jego honor był dla niego droższy niż życie, więc z poczuciem nieokreślonego strachu, przygotowywali się do obejrzenia straszliwego dramatu, który miał się rozegrać przed nimi między ojcem a synem.

Don Ramon wstał, powiódł ponurym spojrzeniem po zgromadzonych i rzucił kapelusz pod nogi.

– Posłuchajcie wszyscy – powiedział twardym i poważnym głosem. – Jestem ze starej chrześcijańskiej rasy, której przodkowie nigdy nie popełnili żadnego wykroczenia. W moim domu honor zawsze był uważany za pierwsze dobro. Honor ten, który przekazali mi moi przodkowie pozostawał nienaruszony i starałem się zachować jego czystość. Mój pierworodny syn, spadkobierca mojego nazwiska, zbrukał go niezmywalną plamą. Wczoraj w *Hermosillo* po kłótni w domu hazardu podpalił budynek, ryzykując spalaniem całego miasta, a kiedy jeden człowiek usiłował przeszkodzić jego ucieczce, zabił go pchnięciem noża. Co myśleć o dziecku, które w tak młodym wieku jest obdarzone takimi instynktami dzikiej bestii? Sprawiedliwości musi stać się zadość, na Boga! Sprawię, że będzie to surowy wyrok!

Po tych słowach *don Ramon* skrzyżował ramiona na piersi i zdawał się medytować.

Nikt nie odważył się zaryzykować słowa na korzyść oskarżonego; opuszczono czoła, tylko piersi ciężko dyszały.

Słudzy ojca kochali *Rafaela* ze względu na jego nieustraszonosć, która nie znała granic, za umiejętności obchodzenia się z końmi i posługiwania się wszelką bronią, a przede wszystkim za szczerość i życzliwość tworzące jego charakter. Szczególnie w tym kraju, gdzie życie człowieka tak niewiele znaczy, wszyscy byli wewnętrznie gotowi usprawiedliwić młodzieńca i widzieć w czynie, który popełnił, tylko rezultat gorącej krwi i wybuch namiętności.

Doña Jesusita podniosła się na nogi. Zawsze bez szemrania podporządkowywała się woli męża, którego przywykła szanować od wielu lat. Sama myśl o sprzeciwieniu się mu przerażała ją i wywoływała dreszcze, ale wszystkie siły jej duszy były skoncentrowane w jej kojącym sercu. Uwielbiała swoje dzieci, zwłaszcza Rafaela, którego niepokorny charakter sprawiał, że ten potrzebował opieki matki bardziej jego rodzeństwo.

– Panie – powiedziała do męża głosem pełnym łez – pamiętaj, że Rafael jest twoim pierworodnym synem, że jego wina, jakkolwiek ciężka, nie może być niewybaczalna w twoich oczach, bo jesteś jego ojcem, a ja – dodała, padając na kolana, składając dłonie i wybuchając płaczem – błagam cię, panie, o litość, o miłosierdzie... miłosierdzie dla mojego syna!

Don Ramon powoli podniósł żonę, której twarz zalana była łzami, i zmusiwszy ją do powrotu na fotel, powiedział do niej:

– To przede wszystkim serce ojca nie może okazywać litości...! Rafael jest mordercą i podpalaczem, nie jest już moim synem!

– Co ty zamierzasz zrobić?! – wykrzyknęła przerażona *doña* Jesusita.

– Co cię to obchodzi, pani? – odparł gwałtownie *don* Ramon. – Dbanie o mój honor to wyłącznie moja sprawa; wystarczy, że wiesz, że był to ostatni błąd, jaki popełnił twój syn.

– Och! – wykrzyknęła z przerażeniem. – Chcesz być jego katem...?!

– Ja jestem jego sędzią – odpowiedział nieubłagany szlachcic strasznym głosem. – Eusebio, przygotuj dwa konie.

– Mój Boże! Mój Boże! – wołała biedna kobieta, rzucając się do syna i obejmując go mocno ramionami. – Czy nikt nie przyjdzie mi z pomocą?

Wszyscy obecni byli poruszeni. Sam *don* Ramon nie mógł powstrzymać łez.

– Och! – zawołała matka z dziką radością. – On jest ocalony! Bóg zmiękczył serce tego człowieka z żelaza!

– Mylisz się, pani – przerwał jej *don* Ramon, nagle odpychając ją – twój syn nie jest już moim, tylko podlega mojej sprawiedliwości!

Tak więc kierując na syna spojrzenie zimne jak stalowe ostrze powiedział głosem, którego straszny ton sprawił, że młody człowiek zatrzęsł się wbrew sobie:

– *Don* Rafaelu, od tej chwili nie jesteś już częścią tego społeczeństwa, które przeraziły twoje zbrodnie; od tej chwili skazuję cię na życie i śmierć z dzikimi zwierzętami.

Po tym strasznym zdaniu *doña* Jesusita zrobiła kilka kroków, zataczyła się i upadła na podłogę. Straciła przytomność.

Rafael do tej pory z wielkim wysiłkiem powstrzymywał wstrząsające nim mocje, ale przy ostatnim wypadku nie mógł się już dłużej powstrzymywać. Rzucił się w stronę matki, wybuchając płaczem i wydając z siebie rozdzierający krzyk:

– Moja mamó! moja mamó!

– Chodź! – powiedział do niego *don* Ramon, kładąc mu rękę na ramieniu.

Dziecko zatrzymało się, zataczając się jak pijany człowiek.

– Popatrz, panie! Ależ popatrz! – zawołał z rozdzierającym serce szlochem. – Moja matka umiera!

– To ty ją zabiłeś – odpowiedział zimno hacjender.

Rafael odwrócił się, jakby ukąsił go wąż; obdarzył ojca dziwnym spojrzeniem i z zaciśniętymi zębami i bladym czołem, rzekł do niego:

– Zabij mnie, panie, bo przysięgam ci, że jeśli będę żył, to tak jak byłeś bezlitosny dla mojej matki i dla mnie, to będę bezlitosny dla ciebie!

Don Ramon spojrzał na niego z pogardą.

– Chodźmy! – powiedział.

– Chodźmy! – powtórzyło dziecko stanowczym głosem.

Doña Jesusita, która zaczynała wracać do życia, jakby we śnie widziała odejście syna.

– Rafael! Rafael! – krzyczała rozdzierającym głosem.

Młodzieniec zawahał się przez chwilę, a potem doskoczył do niej, uściskał ją z szaloną czułością i dołączyny do ojca, rzekł:

– Teraz mogę umrzeć, gdyż pożegnałem się z matką!

Następnie obaj wyszli.

Zgromadzeni ludzie, przerażeni tą sceną, rozeszli się, nie śmiąc podzielić się między sobą wrażeniami, ale całkowicie przeniknięci głębokim bólem.

Pod pieszczotami syna biedna matka znów straciła przytomność.



Rozdział IV

Matka

wa konie trzymane za uzdy przez Eusebio czekały przy bramie hacjendy.

– Mam towarzyszyć *señorowi*? – zapytał majordomus.

– Nie! – odpowiedział sucho hacjender, po czym wsiadł na siodło i umieścił przed sobą syna.

– Odprowadź drugiego konia; nie potrzebuję go – rzekł.

Potem wbiwszy ostrogi w boki swego konia, który rżał z bólu, ruszył z pełną prędkością.

Majordom wrócił na farmę ze smutkiem kiwając głową.

Gdy tylko hacjenda zniknęła za wybrzuszeniem terenu, *don Ramon* zatrzymał się, wyciągnął jedwabną chustę zza pazuchy, zawiązał oczy synowi i nie odzywając się do niego, ruszył w dalszą drogę.

Ta jazda na pustkowiu trwała długo i miała w sobie coś ponurego, co mroziło duszę.

Jeździec ubrany na czarno, bezszelestnie prześlizgując się po piaskach, mający przy łęku siodła uwiązane dziecko, którego istnienie ujawniły jedynie nerwowe dreszcze i wstrząsy, przedstawiał fatalny i dziwny widok, który wywarłby przerażenie najodważniejszego człowieka.

Minęło wiele godzin bez wymiany słów między ojcem a synem. Słońce zaczynało zachodzić za horyzont, na ciemnoniebieskim niebie już pojawiło się kilka gwiazd, a koń wciąż biegł.

Pustynia z każdą chwilą przybierała smutniejszy i bardziej dziki wygląd; zniknęły wszelkie ślady roślinności, tylko tu i ówdzie stopy zbielających od upływu czasu kości pokrywały piasek sinymi plamami. Nad jeźdźcem powoli krążyły drapieżne ptaki, wydając ochryple okrzyki, a w tajemniczych głębinach chaparralu¹, dzikie zwierzęta wraz ze zbli-

¹ *Chaparral* (z hiszp. *chaparro* – niski) – zarośla, zimozielona formacja roślinna, występująca w Ameryce Północnej (zachodnia część USA – Kalifornia, północny Meksyk);

zającym się wieczorem, stłumionymi rykami zapowiadały swoje nocne ponure koncerty.

W tych regionach zmierzch nie istnieje; jak tylko słońce zniknie, nastaje całkowita noc.

Don Ramon wciąż galopował. Jego syn nie skierował do niego modlitwy, nie wypowiedział skargi.

Wreszcie około ósmej wieczorem jeździec zatrzymał się. Ta gorączkowa jazda trwała dziesięć godzin. Koń dyszał głucho i potykał się na każdym kroku.

Don Ramon rozejrzał się; uśmiech zadowolenia wykrzywił mu usta. Ze wszystkich stron pustynia rozpościerała swoje ogromne równiny piasku; jedynie dziewiczy las ukazywał swoją dziwną sylwetkę na horyzoncie, złowieszczo kontrastując z resztą krajobrazu.

Don Ramon zsiadł z konia, położył syna na piasku, zdjął uzdę konia, aby mógł zjeść podany mu obrok; potem, po wykonaniu tych różnych obowiązków bez żadnych uczuć, zbliżył się do syna i zdjął opaskę zasłaniającą jego oczy.

Dziecko pozostało milczące, wpatrując się w ojca tępym i chłodnym wzrokiem.

– Panie – powiedział *don Ramon* suchym, ostrym głosem – znajdujesz się tutaj ponad dwadzieścia lig od mojej hacjendy, w której nigdy nie będziesz mógł postawić stopy pod groźbą śmierci. Od tej chwili jesteś sam, nie masz już ani ojca, ani matki, ani rodziny. Skoro okazałeś się dziką bestią, skazuję cię na życie z dzikimi bestiami. Moje postanowienie jest nieodwołalne, a twoje prośby go nie zmieniają, zatem oszczędź ich sobie.

– Nie błagam cię o nic – odpowiedział głuchym głosem chłopiec. – Nie błaga się kata.

Don Ramon zadrżał. Z gorączkowym wzburzeniem zrobił kilka kroków tam i z powrotem, ale wkrótce opanował się i kontynuował:

– W tej torbie masz zapasy na dwa dni; Zostawiam ci ten gwinutowany karabin, który w mojej dłoni nigdy nie chybił celu. Daję ci

tworzą ją głównie twarde, liśnię roślina krzewiaste: wawrzyny, wrzosowate, karłowate dęby, robinie, także kaktusy.

również te pistolety, tę maczetę, ten nóż, tę siekierę, proch i kule w tych bizonich rogach; w sakwie znajdziesz krzesiwo i wszystko, czego potrzebujesz, aby rozpać ogień. Dodaję do tego Biblię należąca do twojej matki. Umarłeś dla społeczeństwa, do którego nie możesz już wrócić. Przed tobą jest pustynia, należy do ciebie. Co do mnie to nie mam już syna, żegnaj! Niech Pan będzie miłosierny dla ciebie, wszystko między nami na ziemi się skończyło; pozostaniesz sam i bez rodziny; teraz to od ciebie zależy, czy chcesz rozpocząć drugie życie i zaspokoić swoje potrzeby. Opatrzność nigdy nie porzuca tych, którzy pokładają w niej zaufanie; od tej pory będzie cię pilnować.

Po wypowiedzeniu tych słów *don Ramon* z obojętną twarzą założył uzdę koniowi, przywrócił wolność synowi przez przecięcie sznurów, którymi był skrzepowany, i wskoczywszy na siodło, błyskawicznie odjechał.

Rafał podniósł się na kolana, pochylił głowę do przodu i z niepokojem słuchał galopu konia pędzącego po piasku. Podążał za nim wzrokiem tak długo, jak było można dostrzec nieszczęsną sylwetkę, odcinającą się na czarno w promieniach księżyca. Potem, kiedy jeździec zniknął w ciemnościach, chłopiec położył dłoń na piersi, a jego rysy twarzy napięły się w wyrazie rozpacz, której nie sposób opisać.

– Moja matko...! Moja matko...! – zawołał i bez życia upadł na piasek. Zemdlął.

Po dość długim galopie *don Ramon* niezauważalnie i jakby wbrew sobie zwolnił tempo konia, nasłuchując niejasnych dźwięków pustyni. Z niepokojem nastawiał uszu, nie zdając sobie sprawy z przyczyn, które go skłoniły do takiego działania, ale być może czekał na wezwanie od swojego nieszczęśliwego syna – błaganie, aby do niego wrócił. Dwukrotnie nawet jego ręka machinalnie ściągnęła uzdę, jakby był posłuszny tajemnemu głosowi, który nakazywał mu zawrócić; jednak dzika dumą jego rasy nadal była silniejsza, więc kontynuował jazdę do domu.

Słońce wschodziło w chwili gdy *don Ramon* przybył do hacjendy.

Dwie osoby stojące po obu stronach bramy czekały na jego powrót. Jedną z nich była *doña Jesusita*, drugą majordomus.

Na widok swojej bladej i niemej żony, stojącej przed nim jak posąg rozpaczy, hacjender poczuł niewypowiedzialny smutek, który ogarnął jego serce i chciał przejść bez słowa.

Doña Jesusita zrobiła dwa kroki i chwyciła uzdę konia.

– *Don Ramonie*, co zrobiłeś z moim synem? – zapytała z niepokojem.

Hacjender nie odpowiedział. Na widok bólu żony, wyrzuty sumienia skręcały mu serce w piersi. Zastanawiał się w myślach, czy naprawdę miał prawo postąpić tak, jak on zrobił.

Doña Jesusita na próżno czekała na odpowiedź. *Don Ramon* popatrzył uważnie na swoją żonę. Poczuł strach, gdy zobaczył niezatarte bruzdy, które żal wyłobił na tej twarzy tak spokojnej, tak łagodnej jeszcze kilka godzin wcześniej.

Szlachetna kobieta była blada; jej ściągnięte rysy miały niesamowitą sztywność; jej rozgorączkowane oczy były czerwone i suche, a znajdujące się pod nimi dwie głębokie czarne linie sprawiały, że zdawały się jednocześnie puste i błędne; duże plamy pokrywały każdy z jej policzków – to były ślady łez, których źródło wyschło. Nie mogła dłużej płakać, jej głos był chrapliwy i urywany, ściśnięta pierś uniosła się boleśnie, by po chwili wyrzucić z siebie dyszący oddech.

Po odczekaniu kilku sekund na odpowiedź na swoją prośbę, zapytała znowu:

– *Don Ramonie*, co zrobiłeś z moim synem?

Hacjender odwrócił wzrok z zażenowaniem.

– Och! zabiłeś go! – krzyknęła rozdzierającym głosem.

– Nie...! – odpowiedział, przerażony tym bólem i po raz pierwszy w życiu zmuszony do uznania siły matki, która domaga się rozliczenia za swoje dziecko.

– Co z nim zrobiłeś? – zapytała nalegającym tonem.

– Później – odparł. – Kiedy się uspokoisz, wszystkiego się dowiesz.

– Jestem spokojna – odpowiedziała. – Po co udajesz litość, której nie masz? Mój syn nie żyje, a ty go zabiłeś!

Don Ramon zsiadł z konia.

– *Jesusito* – rzekł do swojej żony, biorąc ją za ręce i patrząc na nią czule – przysięgam na to, co najświętsze na świecie, że twój syn żyje. Nie dotknąłem włosa na jego głowie.

Biedna matka pozostała zadumana przez kilka sekund.

– Wierzę ci – odparła po chwili. – Co się z nim stanie?

– No cóż! – kontynuował z wahaniem. – Skoro chcesz wszystko wiedzieć, dowiedz się, że jeśli porzuciłem twojego syna na pustyni... to pozostawiłem mu środki zapewniające mu bezpieczeństwo i pozwalające na zaspokojenie potrzeb.

Doña Jesusita zadygotała, a potem przez całe jej ciało przebiegł nerwowy dreszcz.

– Byłeś bardzo łaskawy – stwierdziła ostro i z gorzką ironią. – byłeś łaskawy dla szesnastoletniego dziecka, *don Ramonie*. Odczułeś wstręt do umoczenia swoich rąk we krwi i wolałeś pozostawić to zadanie dzikim zwierzętom i drapieżnym Indianom, którzy jako jedyni zaludniają tę pustkowię.

– On zawinił! – odpowiedział hacjender ponurym, ale stanowczym głosem.

– Dziecko nigdy nie jest winne dla tej, która nosiła je w łonie i karmiła mlekiem – powiedziała energicznie. – W porządku, *don Ramonie*, ty skazałeś swojego syna, ja go uratuję!

– Co chcesz zrobić? – zapytał hacjender, przerażony pomysłem, który ujrzał w oczach żony.

– Co cię to obchodzi, *don Ramonie*? Spełnię swój obowiązek, tak jak myślałeś, że powinienesz spełnić swój! Bóg rozsądzi między nami! Drż, aby nigdy nie poprosił cię o rozliczenie z krwi twojego syna...!

Don Ramon pochylił głowę pod tą anatamą¹; z bladym czołem i duszą pełną piekących wyrzutów sumienia powoli wszedł do hacjendy.

Doña Jesusita przez chwilę śledziła go wzrokiem.

– Och! – zawołała. – Mój Boże! Spraw, bym dotarła na czas.

Potem wyszła w towarzystwie Eusebio.

¹ *Anatema* – tu: ostre potępienie kogoś lub czegoś.

Czekały na nich dwa konie, ukryte za kępą drzew. Oboje wskoczyli na siodła.

– Dokąd jedziemy, *señoro*? – zapytał majordom.

– Szukać mojego syna! – odpowiedziała z emocją.

Wydawała się przemieniona nadzieją. Jasny szkarłat zabarwił jej policzki; czarne oczy ciskały błyskawice.

Eusebio odwiązał cztery wspaniałe psy gończe, używane do tropienia śladów, zwane w tym kraju *rastreros*. Kazał im powąchać koszulę należącą do Rafaela; psy rzuciły się na drogę, głośno ujadając. Eusebio i *doña* Jesusita pognali za nimi, wymieniając spojrzenia pełne najwyższej nadziei.

Psy nie miały problemu z podążaniem śladem chłopca. Tropienie było dla proste i czyniły to bez wahania, więc ani na chwilę nie zatrzymały się.

Kiedy *doña* Jesusita przybyła do miejsca, w którym Rafael został porzucony przez ojca, miejsce to okazało się puste...! Dziecko zniknęło!

Widoczne były ślady jego pobytu: ogień jeszcze się żarzył. Wszystko wskazywało, że Rafael opuścił to miejsce zaledwie godzinę temu.

– Co robić? – zapytał Eusebio z niepokojem.

– Jechać do przodu! – odparła stanowczo *Doña* Jesusita, wbijając ostrogi w brzuch konia, który wściekle zarżał i powrócił do swego szaleńczego biegu.

Eusebio podążał za nią.

Wieczorem tego samego dnia wielka konsternacja zapanowała w hacjendzie del Milagro. *Doña* Jesusita i Eusebio nie wrócili. *Don* Ramon kazał wszystkim wsiąść na konie. Uzbrojeni w pochodnie peoni a także *vaqueros* rozpoczęli poszukiwania swojej pani i majordomusa.

Cała noc minęła, nie przynosząc zadowalających rezultatów.

O świcie został znaleziony na pustyni w połowie pożarty koń *doñi* Jesusity. Brakowało jego uprzęży.

Ziemia otaczająca zwłoki konia wydawała się być sceną zaciętej walki.

Zdesperowany *don* Ramon nakazał powrót.

– Mój Boże! – zawołał, wchodząc do hacjendy. – Czy już się zaczyna moja kara?

Minęły tygodnie, miesiące i lata, lecz nic nie mogło uchylić rąbka tajemniczej zasłony okrywającej te złowrogie wydarzenia i pomimo najbardziej aktywnych i wytrwałych poszukiwań niczego nie dowiedziano się o losie Rafaela, jego matki i Eusebia.



CZĘŚĆ PIERWSZA

SZCZERE SERCE

Rozdział I

Preria

Na zachodzie Stanów Zjednoczonych, kilkaset mil za Missisipi, rozciąga się ogromne, nieznane do tej pory terytorium, składające się z nieuprawnych ziem, gdzie nie wznosi się ani dom białego człowieka, ani chata Indianina.

To rozległe pustkowię, poprzecinane ciemnymi lasami z tajemniczymi ścieżkami wytyczonymi przez tropy dzikich zwierząt i bujnymi zielonymi preriami z wysokimi, gęstymi trawami kołyszącymi się na najmniejszym wietrze, jest nawadniane przez potężne ciekł wodne, z których główne to rzeki Canadian River, Arkansas River i Red River.

Na tych ziemiach, z ich bogatą roślinnością, wędrują niezliczone stada dzikich koni, bizonów, łosi, longhornów¹ i tysiacy innych zwierząt, z dnia na dzień wypieranych w innych częściach Ameryki przez cywilizację, a które w tych rejonach na nowo odkrywają swoją pierwotną wolność.

W tym regionie również najpotężniejsze plemiona indiańskie założyły swoje tereny łowieckie.

Delawarowie, Krikowie i Osedżowie² przemieszczają się wzdłuż granic pustkowi w okolicach amerykańskich osad, z którymi zaczynają

¹ *Longhorny* (ang. długorogie) – rasa Texas longhorn, pochodząca od bydła sprowadzonego przez hiszpańskich konkwistadorów, hodowanego głównie w Meksyku, często dziedziczonego, skrzyżowanego w Teksasie przez amerykańskich osadników z bydlęciem sprowadzonym z wschodniej części USA, rasa o różnym umaszczeniu, wyróżniająca się bardzo długimi rogami, o rozpiętości do 2,5 m, stąd nazwa; hodowane dla mięsa

² *Delawarowie* – nazwa własna Lenape, plemię Indian Ameryki Północnej, mówiące językiem z grupy algonkińskiej, początkowo jedno z najsilniejszych na Wschodnim Wybrzeżu USA, wypierane przez białych osadników na zachód, po walkach w drugiej połowie XIX osadzone w rezerwatach w Oklahomie i w prowincji Ontario w Kanadzie, obecnie liczy około 16 tysięcy ludzi; *Krikowie* (ang. Creek, nazwy własne: Muscogee lub Muskogee) – dawna konfederacja Indian Ameryki Północnej, obejmuje 13 grup, liczących od 66,5 tys. (Muscogee Creek Nation) do zaledwie kilku osób

ich łączyć słabe więzi cywilizacyjne, walcząc przeciw hordom Paunisów, Czarnych Stóp, Assiniboinów¹ i Komanczów, nieposkromionym plemionom, koczownikom z prerii lub mieszkańcom gór, którzy przemierzają we wszystkich kierunkach to pustkowie, do którego żadne z nich nie śmieją rościć sobie prawa własności, ale które wydają się zgodnie dewastować, spotykając się licznie na polowaniach, jakby i w tym chodziło o prowadzenie wojny.

Rzeczywiście, na tej pustyni można spotkać wszelkiego rodzaju wrogów; nie wspominając o dzikich bestiach, są też myśliwi, trapezy i partyzanci, którzy są nie mniej groźni dla Indian niż ich rodacy.

Tak więc preria, złowrogi teatr nieustannych i strasznych walk, jest w rzeczywistości niczym więcej niż rozległym ossuarium, w którym tysiące nieustraszonych ludzi jest co roku niejasno pochłanianych w wojnie bezlitosnych zasadzek.

Nie ma nic bardziej okazałego i majestatycznego niż wygląd tych łąk, w które Opatrzność wlała niezliczone bogactwa; nic bardziej uwodzicielskiego niż te zielone krajobrazy, te gęste lasy, te szerokie rzeki, melancholijny szmer wód na kamykach plaży, śpiew tysięcy ptaków ukrytych pod listowiem, skoki zwierząt bawiących się wśród wysokich traw. Wszystko oczarowuje, przyciąga i porywa zafascynowanego podróżnika, który wkrótce stanie się ofiarą swego entuzjazmu, wpadając w jedną z niezliczonych pułapek kryjących się pod jego stopami wśród kwiatów i zapłaci za swoją nierozważną łatwowierność swoim życiem.

(Tuckabachee); posługują się językiem krik z rodziny muskogi, zamieszkują Oklahomę, Alabamę, Georgię i Florydę; *Osedżowie* (także Osage lub Osagowie) – plemię Indian północnoamerykańskich, zaliczane do grupy Siuksów Południowych; pochodzące z doliny rzeki Ohio, z terenów dzisiejszego stanu Kentucky; w połowie XVII wieku, po latach wojen z Irokezami, przenieśli się na zachód od rzeki Missisipi, na tereny współczesnych stanów Arkansas, Missouri, Kansas i Oklahoma; w początkach XVIII w. byli najpotężniejszym indiańskim plemieniem w tym rejonie.

¹ *Czarne Stopy* (ang. Blackfoot, nazwa własna Siksika,) – federacja trzech blisko spokrewnionych plemion Indian Ameryki Północnej zamieszkujących prowincję Alberta w Kanadzie i stan Montana w USA; *Assiniboinowie* (Assiniboin, Assiniboine, Stonies, Stony, nazwa własna: Nakoda) – Indianie z Wielkich Równin kanadyjskich, w czasach swej świetności zamieszkujący tereny na zachód od jeziora Winnipeg; byli sprzymierzeni z plemieniem Kri; uprawiali myślistwo, handlowali skórami; stracili znaczenie w XIX wieku wskutek licznych epidemii.

Pod koniec 1837 roku, w ostatnich dniach września, znanego przez Indian jako „Księżyc Spadających Liści” – *Inaqui Quisis* – przy ognisku siedział młody mężczyzna, którego karnacja była całkowicie podobna do karnacji Indian, choć nie strój, co pozwalało łatwo rozpoznać w nim białego człowieka. Do zachodu słońca pozostała mniej więcej godzina. W jednej z najbardziej odległych części prerii, którą właśnie opisaliśmy, o tej porze roku dawała się we znaki potrzeba rozpalenia ognia.

Mężczyzna ten miał najwyżej trzydzieści pięć lub trzydzieści sześć lat, choć kilka zmarszczek, głęboko bruzdzących jego szerokie, matowobiałe czoło, wydawało się wskazywać na starszy wiek.

Jego rysy twarzy były przystojne i szlachetne, przepojone dumą i energią dzikiej przyrody. Głęboko osadzone czarne oczy, zwieńczone gęstymi brwiami, miały łagodny, melancholijny wyraz, łagodzący ich jasny blask i żywotność; dolna część jego twarzy znikwała pod długą, gęstą brodą, której niebieskawy odcień kontrastował z dziwną bledością cery.

Był wysokiego wzrostu, smukły i idealnie proporcjonalnie zbudowany; jego żyłaste kończyny z niezwykle napiętymi mięśniami wskazywały, że jest obdarzony niezwykle siłą. Wreszcie cała jego osoba wzbudzała pełną szacunku sympatię, którą elitarne natury łatwiej przyciągają w tych stronach niż w naszych krajach, gdzie podobny wygląd fizyczny jest prawie zawsze atrybutem brutalą.

Jego strój, bardzo prosty, składał się z *mitasse*¹, rodzaju wąskich spodni sięgających kostek, przymocowanych na biodrach skórzanym pasem, oraz z bluzy myśliwskiej z kaliko², haftowanej wełnianymi ozdobami w różnych kolorach, i sięgającej do połowy nóg. Bluza ta, rozpięta z przodu, odsłaniała jego zbrunatniałą klatkę piersiową, na której wisiał szkaplerz z czarnego aksamitu, przytrzymywany cienkim stalowym łańcuszkiem. Buty z niegarbowanej skóry chroniły go przed ukąszeniami gadów i sięgały mu do kolan. Wreszcie czapka ze skóry bobra, z ogonem opadającym z tyłu, okrywała jego głowę, a spod niej

¹ *Mitasse* – rodzaj getrów lub ochraniaczy okrywających nogi od połowy uda do kostek, utrzymywanych w miejscu za pomocą systemu skórzanych pasków.

² *Kaliko* – niegdyś jeden z gatunków perkalu, rodzaju bawełnianej tkaniny o splocie płóciennym (od nazwy portu Kalikat na północy Indii na Wybrzeżu Malabarskim).

wysuwały się długie pukle bujnych czarnych włosów, już zmieszanych ze srebrnymi nitkami, opadającymi na jego szerokie ramiona.

Ten człowiek był myśliwym.

Wspaniała strzelba z gwintowaną lufą, znajdująca się w zasięgu ręki, przewieszona przez ramię torba myśliwska i dwa rogi bizona, wiszące u pasa, pełne prochu i kul, nie pozostawiały wątpliwości, że był myśliwym. Dwa długie podwójne pistolety leżały niedbale obok jego strzelby.

Myśliwy, uzbrojony w długi nóż zwany maczetą oraz szablę o krótkim, prostym ostrzu, którą zawsze mają przy sobie mieszkańcy prerii, był zajęty sumiennym obdzieraniem bobra ze skóry, jednocześnie uważnie obserwując piekący się nad ogniem udziec jelenia, zawieszony na sznurze, i nasłuchując nawet najmniejszych odgłosów, które dobiegały z prerii.

Miejsce, w którym teraz przebywał ten człowiek, było doskonale wybrane na kilkugodzinny postój.

Była to polana położona na szczycie dość wysokiego pagórka, który dzięki swojemu dominującemu położeniu nad prerią, już z dużej odległości uniemożliwiał jakiegokolwiek zaskoczenie. Kilka kroków od miejsca, w którym myśliwy rozbił obóz, tryskało źródło i kapryśną kaskadą opadało na równinę. Wysoka i obfita trawa stanowiła doskonałe pastwisko dla dwóch wspaniałych koni o dzikich, błyszczących oczach, które spętane, przeżuwały na miazgę paszę zaledwie kilka kroków dalej. Ognisko, rozpalone suchym drewnem i osłonięte z trzech stron odłamkami skał, wypuszczało tylko cienką kolumnę dymu, niezauważalną z dziesięciu kroków, a zasłona ze stuletnich drzew ukrywała obóz przed wścibskimi oczami tych, którzy prawdopodobnie czekali w pobliżu w jakiejś zasadzce.

Krótko mówiąc, wszystkie środki ostrożności niezbędne dla bezpieczeństwa myśliwego zostały podjęte z rozważą, która dowodziła dogłębnej znajomości życia gońca leśnego¹.

¹ *Goniec leśny* (fr. *Coureur des bois*) – określenie niezależnych myśliwych i trapezów, którzy w XVII i XVIII wieku wyruszyli z Nowej Francji na północny zachód dzisiejszych Stanów Zjednoczonych i południowy zachód Kanady po futra dzikich zwierząt (zwłaszcza bobrów), które pozyskiwali samodzielnie lub nabywali od Indian; odpowiednik współczesnego traper.



Miejsce, w którym teraz przebywał ten człowiek,
było doskonale wybrane na kilkugodzinny postój.

Czerwonawe ognie zachodzącego słońca zabarwiły wierzchołki wysokich drzew uroczymi refleksami, a słońce prawie zniknęło za górami wyznaczającymi horyzont, gdy konie nagle przerwały posiłek, podniosły łby i zastrzygły uszami. Były to oznaki niepokoju, które nie umknęły myśliwemu.

Choć nie słyszał jeszcze żadnych podejrzanych odgłosów, a w okolicy wszystko wydawało się spokojne, pospiesznie położył przed ogniskiem skórę bobra, rozciągniętą na dwóch patykach złożonych na krzyż, i nie wstając, wyciągnął rękę w stronę strzelby.

Nagle w równych odstępach czasu trzykrotnie powtórzył się skrzek sroki.

Myśliwy z uśmiechem odłożył strzelbę na bok i wrócił do dozoru kolacji. Niemal natychmiast trawa zaczęła się gwałtownie poruszać – wyskoczyły z niej dwa wspaniałe ogary i położyły się obok myśliwego, który przez chwilę je głaskał i miał pewne trudności z pozbyciem się ich pieśczoł.

Konie beztrudno wznowiły przerwany posiłek.

Psy te wyprzedziły o kilka minut drugiego myśliwego, który niemal natychmiast pojawił się na polanie.

Ten nowy osobnik, znacznie młodszy od pierwszego, bo wyglądał na nie więcej niż dwadzieścia dwa lata, był wysokim, szczupłym, zwinnym mężczyzną o żylastej budowie, lekko okrągłej twarzy oświetlonej dwojgiem szarych oczu błyszczących inteligencją i obdarzonych otwartą i lojalną fizjonomią, a długie popielatoblond włosy nadawały mu dziecięcy charakter.

Ubrany był w ten sam strój co jego towarzysz, a po przybyciu do ogniska zrzucił różaniec ptaków, który niósł na ramionach.

Następnie obaj myśliwi, nie zamieniając ze sobą ani słowa, przystąpili do przygotowania jednej z tych kolacji, które dzięki długiej praktyce zawsze uważa się za wymienite.

Noc zapadła w pełni, pustkowiem stopniowo budziło się do życia, a wycie dzikich zwierząt niesło się już echem po prerii.

Myśliwi, po zjedzeniu obfitej kolacji, zapalili fajki i ustawili się plecami do ognia, tak aby blask płomieni nie przeszkadzał im w rozpoznaniu zbliżających się podejrzanych gości, jakich mogłaby przynieść ciemność; palili z błogością właściwą dla ludzi, którzy po długim

i żmudnym dniu delektują się chwilą odpoczynku, wiedząc że nie będą mogli znaleźć jej ponownie przez długi czas.

– No i jak? – zapytał krótko pierwszy myśliwy, pomiędzy dwoma zaciągnięciami się tytoniem.

– Miałeś rację – odpowiedział drugi.

– Ach, tak!

– Tak, skróciliśmy za bardzo w prawo i dlatego zgubiliśmy trop.

– Widzisz, Belhumeur¹, za bardzo polegasz na swoich kanadyjskich przyzwyczajeniach; Indianie, z którymi mamy tu do czynienia, w niczym nie przypominają Irokezów², wędrujących po terenach łowieckich twojego kraju.

Belhumeur pokiwał głową na znak zgody.

– Zresztą to jest mało znaczące w tym momencie – ciągnął pierwszy. – Musimy się dowiedzieć, kim są nasi złodzieje.

– Wiem, kim oni są.

– Dobrze! – powiedział pierwszy, wyciągając fajkę z ust. – Więc co to za Indianie, którzy ośmielili się ukraść pułapki oznaczone moim numerem?

– Komancze.

– Tak myślałem, na Boga! Dziesięć naszych najlepszych pułapek skradzionych w nocy! Przysięgam ci, Belhumeur, drogo za to zapłacą...! A gdzie są teraz ci Komancze?

– Najwyżej trzy mile od nas. To grupa grabieżców licząca kilkunastu ludzi; według kierunku, w którym zmierzają, wracają z powrotem w góry.

– Nie wszyscy zdążą – powiedział myśliwy, spoglądając na strzelbę.

– Do licha, dostaną to na co zasługują – rzekł Belhumeur, wybuchając głośnym śmiechem. – Pozostawię tobie, Szczere Serce³, ukaranie

¹ *Belhumeur* – znaczące nazwisko, które można przetłumaczyć jako „Dobry Humor”.

² *Irokezi* – nazwa konfederacji pięciu (później sześciu) północnoamerykańskich plemion Indian (Mohawk, Onondaga, Oneida, Cayuga, Seneka i Tuscarora), powstała w 1142 r. (według innych przekazów w XVI w.), zamieszkiwali głównie tereny obecnego stanu Nowy Jork; w XVIII w. rozpoczęli ekspansję na zachód, docierając do Missisipi, wyparci ze swych ziem przez Amerykanów w latach 1775-1785; wiedli rolniczy tryb życia; obecnie jest ich ok. 125 tys.

³ *Szczere Serce* – w oryg.: Loyal-Cœur.

ich za ten wyczyn, ale będziesz o wiele bardziej zdeterminowany, by się na nich zemścić, gdy dowiesz się, kto nimi dowodzi.

– A więc znam ich wodza?

– Trochę – odparł z uśmiechem Belhumeur – to Nehu nutah.

– Głowa Orla¹! – wykrzyknął Szczere Serce, zrywając się z miejsca. – Och, och, tak, znam go i niech Bóg sprawi, bym tym razem mógł wyrównać nasze stare rachunki. Jego mokasyny już wystarczająco długo kroczą tą samą ścieżką co moje i blokują mi drogę.

Po wypowiedzeniu tych słów tonem nienawiści, który sprawił, że Belhumeur zadrżał, myśliwi – zły, że pozwolił sobie na okazanie gniewu – ponownie sięgnął po fajkę i kontynuował palenie z udawaną beztroską, choć ta nie zmyliła jego towarzysza.

Rozmowa urwała się.

Obaj myśliwi wydawali się pochłonięci głębokimi rozmyślaniami i palili w milczeniu, siedząc obok siebie.

W końcu Belhumeur zwrócił się do swego towarzysza.

– Mam czuć? – zapytał.

– Nie – odpowiedział Szczere Serce przyciszonym głosem – śpij, będę czuł za ciebie i za siebie.

Belhumeur, nie wypowiadając najmniejszej uwagi, położył się przy ognisku, a kilka minut później spał już mocnym snem.

Kiedy sowa odezwała się swoim porannym śpiewem, jakby zapowiadającym rychłe pojawienie się słońca, Szczere Serce, który przez całą noc pozostawał nieruchomy jak marmurowy posąg, obudził swojego towarzysza.

– Już czas – powiedział.

– Dobrze! – odparł Belhumeur i natychmiast wstał.

Myśliwi osiodłali konie, ostrożnie zjechali z pagórka i ruszyli tropem Komanczów.

W tym momencie na horyzoncie pojawiło się słońce, rozpraszając mrok i oświetlając prerię swoim wspaniałym i żywoczym światłem.



¹ *Głowa Orla* – w oryg.: La Tête-d’Aigle.

Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!